

W butach Valerii



NETFLIX

NETFLIX — SERIAL
ORYGINALNY

**ELÍSBET
BENAVENT**

NETFLIX

NETFLIX — SERIAL
ORYGINALNY

Valeria



Elísabet Benavent

W butach Valerii



Z JĘZYKA HISZPAŃSKIEGO PRZEŁOŻYŁA
Barbara Bardadyn



TYTUŁ ORYGINAŁU:

En los zapatos de Valeria

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Wydawca: Małgorzata Świącicka

Redakcja: Anna Płaskoń-Sokołowska

Korekta: Małgorzata Denys

Projekt okładki: Armando Fidalgo

Opracowanie graficzne okładki: Łukasz Werpachowski

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2013, Elisabet Benavent Ferri

© 2015, de la presente edición en castellano para todo el mundo:

Penguin Random House Grupo Editorial, S.A.U.

Travessera de Gràcia, 47-49. 08021 Barcelona

Copyright © 2020 for the Polish edition by Wydawnictwo Kobiectwo Łukasz Kierus

Copyright © for the Polish translation by Barbara Bardadyn, 2020

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2020

ISBN 978-83-66654-03-7



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

www.facebook.com/kobiece



www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo Kobiectwo

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

1

Dawno, dawno temu...



Przerwałam głośny spacer palców po klawiaturze i przeczytałam tekst, drapiąc się ołówkiem po głowie: „Spojrzeli na siebie. Metry odległości między nimi nie miały znaczenia, ponieważ myśli się zmaterializowały, spadły na podłogę, odbiły się i uciekły. Na ułamek sekundy, kiedy patrzyli sobie w oczy, wszystko zamarło; w oknie zatrzymał się nawet wietrzyk, który kołysał drzewami. Ona jednak mrugnęła i oboje odwrócili wzrok, zawstydzeni, przestraszeni i urzeczeni myślą o zakochaniu się w kimś nieznanym”.

Przewróciłam oczami, rzuciłam ołówek na stół i wstałam tak gwałtownie, jakby ktoś umieścił w krześle sprężynę.

– Co za gówno!

Oczywiście wiedziałam, że nikt mnie nie usłyszy, ale potrzebowałam powiedzieć głośno jedyne, co myślałam w tamtej chwili. To jest gówno. W mojej głowie słowa przesuwały się niczym tekst z początku *Gwiezdných wojen*, tyle że w wersji ordynarnej. Co za gówno. Jedno wielkie gówno. Gówno wielkości krowiego placka.

Nie miałam żadnych pomysłów, taka była smutna prawda. Pięćdziesiąt siedem stron, które już napisałam, były niczym więcej jak bzdurami, którymi się usprawiedliwiałam – to oczywiste. Żalodne i straszne bzdury godne gimnazjalnego konkursu literackiego. Na koniec dnia wymagałam od siebie przynajmniej dwóch wypełnionych tekstem stron, chociaż w obecnej sytuacji zadowolilibym się dwoma albo trzema przyzwoitymi akapitami. Przyzwoitymi? To za dużo powiedziane.

Spędzanie dnia przed ekranem komputera nie miało żadnego sensu. Będąc sama w domu, nie musiałam niczego udawać i doskonale wiedziałam, że do wieczora nie napiszę nic błyskotliwego. A może nawet już nigdy. Tak więc przeszłam z salonu/gabinetu / pokoju dziennego do sypialni – trasa, do pokonania której nie potrzeba było więcej niż trzech kroków – i usiadłam na łóżku. Rzuciłam okiem na swoje nagie stopy, a ponieważ przeraził mnie odpryskujący lakier na paznokciach, przysunęłam popielniczkę i zapaliłam papierosa...

Co ja ze sobą zrobiłam... Od kiedy to akceptuję u siebie taki stan zapuszczenia? Spojrzałam kątem oka na telefon i – po przemyśleniu tego przez dwie dziesiąte sekundy – chwyciłam go.

Jeden sygnał..., drugi..., trzeci...

– Tak? – odebrała.

– Załóżmy, że jestem przegrana. Wciąż będziesz mnie kochać? – zapytałam bezceremonialnie.

Lola wybuchnęła śmiechem, powodując, że bębenek w moim uchu zawibrował.

– Jesteś paranoiczką – odparła.

– To nie paranoja. Nie napisałam jeszcze ani jednego dobrego zdania. W wydawnictwie dadzą mi kopa w dupę. Mocnego

kopa. Choć raczej będzie im wszystko jedno. Sama go sobie daję.

– Nikt oprócz mnie nie może cię kopać w dupę, Valeria – dodała czule, jakby to była pieszczota.

– Wiesz, co jest najtrudniejsze dla młodego pisarza? Wydanie drugiej powieści. Drugiej powieści... To już oznacza, że przynajmniej coś się ma. To, co mam ja, to gniot. Moje drugie gówno, tym właśnie będzie.

– Przesadzasz.

– Mówię poważnie, Lola. Chyba popełniłam błąd, rzucając pracę. – Chwyciłam się za głowę i poczułam zwiotczalego, rozwalonego koka.

– Nie gadaj bzdur. Miałś tego po dziurki w nosie, twój szef był brzydki jak noc, a teraz masz wystarczająco kasy, żeby żyć. W czym problem?

Problem w tym, że pieniądze kiedyś się skończą, a „spróbowanie szczęścia na rynku wydawniczym” zawsze brzmiało zbyt ryzykownie. Zastanawiałam się nad tym przez chwilę, ale rozproszył mnie klakson autobusu po drugiej stronie telefonu. Spojrzałam na zegarek. Była dopiero dwunasta, więc Lola powinna być w pracy.

– Dzwonię nie w porę? – zapytałam.

– Skąd!

– Słyszać samochody. Jesteś na ulicy?

– Tak, w pracy powiedziałam, że strasznie boli mnie nadgarstek, i wyszłam, żeby pooglądać wystawy sklepowe.

Pokręciłam głowę, uśmiechając się z dezaprobatą. Ta Lola...

– Nie mam pojęcia skąd, ale wiedziałam, że jeśli zadzwonię o tej porze, nie zastanę cię w pracy. Kiedyś to tobie dadzą kopa, moja droga.

Zaśmiała się.

– Jestem wydajna i szybka. Nie sądzę, żeby szukali kogoś jeszcze do pracy takiej jak moja.

– Chyba że kogoś, kto nie uprawia eskapizmu – odparłam, zdając sobie sprawę, że mój manikiur też pozostawia wiele do życzenia.

– Słuchaj, jestem dwa przystanki od twojego domu. Chcesz, żebym wpadła?

– Jasne, że chcę.

Rozłączyła się. Lola nie żegna się przez telefon.

Zaczęłam myśleć o życiu Loli. Jest taka zajęta, jej czerwony terminarz wprost pęka od spotkań, które zawsze wydawały się tak ważne i emocjonujące, nawet jeśli była to wizyta u kosmetyczki na depilację brazylijską. Jej kosmetyczki, tak, tej kobiety, którą nazywała „Miss Shaigon”, choć tak naprawdę urodziła się w Plasencii, i która kiedyś nie zostawiła mi ani jednego włoska, bez żadnego uprzedzenia.

W wolnych chwilach lubiłam szperać między stronami terminarza Loli, gdzie miała zanotowane całe swoje życie. Numery telefonów do chłopaków, z którymi się umawiała, to, ile ważyła, ile razy się bzykała (bardzo dużo – ku mojej nieskrywanej zazdrości), godziny, jakie zamierzała spędzić na siłowni i te, które rzeczywiście tam spędzała, liczbę wypitych drinków, wypalonych papierosów, spotkania z Sergiem, ubrania, które pożyczała, te, które oddawała do pralni, oraz te, które musiała kupić jako podstawę swojej garderoby, tyśiące paragonów ze sklepów i z supermarketu, na których zupełnie bez sensu zakreślała cyfry i przyklepiała je na ostatnich stronach tego swoistego pamiętnika... Było tu całe jej życie – nabazgrane na papierze kolorowymi mazakami; bez

wstydu, niemal jak jakiś rodzaj dzikiego nudyzmu, tak bardzo typowego dla Loli, która, jako że nie czuła strachu, nie bała się nawet samej siebie. To było fascynujące.

Ja przyzwyczyłam się do terminarza elektronicznego, ponieważ komputer i telefon emitują wystarczająco powtarzalny i irytujący hałas, żeby wybudzić mnie z wiecznej drzemki i przypomnieć, że muszę odwiedzić mamę albo pomóc siostrze w realizacji jakiegoś absurdalnego pomysłu typu przestawienie wszystkich mebli w mieszkaniu. Tak, teraz miałam właśnie takie zobowiązania. Mój terminarz nie wyglądał niczym książka podręcznicza jak u Loli, przypominał raczej górę rodzinnych zobowiązań, terminów płatności rachunków i uzgodnień z terminarzem Adriána, mojego męża. Tak, męża, nie pomyliłam się. Czasami odnosiłam wrażenie, że to słowo kompletnie nie pasowało do moich dwudziestu siedmiu lat. Prawdę mówiąc... owszem, nie pasowało. Do moich dwudziestu siedmiu lat i momentami do całego mojego życia, ale to już zupełnie inna sprawa, w którą nie będę się zagłębiać... na razie.

Wyrzałam przez okno. Był słoneczny dzień, chociaż w oddali dało się dostrzec kilka chmur. Nic dziwnego, że Lola uciekła z pracy. Gdybym ja wciąż siedziała zamknięta w biurze, też chciałabym to zrobić, choć oczywiście nigdy bym się na to nie zdobyła. Nigdy nie byłam odważna, przynajmniej nie w tym sensie. Powinnam była powiedzieć „lekomyślna”, prawda?

Rozbrzmiał dzwonek. Nie byłam przyzwyczajona do jego piekielnego dźwięku, choć mieszkałam w tej norze od paru lat, więc z przerażenia o mało nie wypadłam przez okno.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A
15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059